

Teatr Wiejski Węgajty: Raduj się ziemio

GAZETA KRAKOWSKA

KULTURA I SZTUKA

Śpiew powoli zbliżał się do chałupy. Kołędnicy podchodzili brnąc w kopnym śniegu, zatrzymywali się przed wejściem lub obchodzili chałupę wokół:

Dobryj wieczór tobi,
pane gospodarzu
Raduj się! Oj raduj się
zemia
Syn Boży narodził się!

Po chwili na zewnątrz domu zapalała się lampa, drzwi wejściowe otwierały się szeroko i gospodarz, najczęściej mil-

tu byli u was trzy lata temu na kołędowaniu?

— A, to wyście byli!

Teatr Wiejski
— WĘGAJTY

ma swą siedzibę w podolsztyńskiej wsi o tej sa-

— To w środku się spotkali.

W wyprawie, obok zespołu teatru, wzięło udział kilka osób okazjnie współpracujących z „Węgajtami”. Wskutek tego było nas zbyt dużo, by pomieścić się w niejednej kuchni lub izbie. Trzeba się było podzielić, a poza tym, mimo chodzenia w dwu grupach, ledwo starczyło nam czasu, by obkoleдовать wszystkie gospodarstwa w dwa święte-

Mości gospodarzu,
domowy szafarzu,
nie bądź tak ospały,
każ nam dać gorzały
dobrej z alembika
i do niej piernika
Hej kołeda, kołeda!

Najczęściej i bez tego gospodyni przynosiła świąteczne ciasta i kiełbasy, a gospodarz przepijał do kołędników. Nie raz w ruch szły instrumenty: skrzypce, klarnet, akordeon i bęben i zapomniawszy o kołędach tańcowali pół godziny, godzinę i dłużej, aż trzeba było przerywać zabawę. Wizyty nasze przeciągały się i to, co początkowo wydawało się łatwe — zdążyć zejść do bez mała czterdziestu chałup przez dwa dni — powoli stawało się problemem, z którym musieliśmy trochę powalczyć.

Bywało też tak, że po trzech, pięciu kołędach następowała dłuższa chwila ciszy, w której próbowaliśmy wybadać, jaki jest kontakt z milczącym ca-

ząc, zapraszał do środka. Każde jego słowo i tak zagłuszyłyby śpiew, który z nieskończonych śnieżnych obszarów wtargnął nagle do niskiej kuchni.

Ta budut' do tebe tri
prazniki w gosti
Raduj się!

Jedna po drugiej następowały kolejne kołedy: polskie, łemkowskie, ukraińskie. Gospodarze zazwyczaj przysłuchiwali się w skupieniu, aż wreszcie w którejś chwili ciszy między kołędami, kiedy krótko czekaliśmy kto zaintonuje nową pieśń, kiedy trudno było wyczuć, jak jesteśmy odbierani, padało jedno z kilku wciąż powtarzających się pytań:

— A skąd jesteście?

— Przeważnie spod Olszty-
na... I też z innych miejsc. Z
całej Polski i nawet z Ukrainy.

— Tak kawał drogi?!

— A pamiętacie nas? Myśmy

mej nazwie. Kołędowanie w Bartnem, łemkowskiej wsi w Beskidzie Niskim, było jednym z punktów od lat realizowanego przez ten teatr programu poszukiwań pierwotnych wartości i inspiracji kulturowych, poszukiwań źródeł i prototypowych form teatru i muzykowania.

Wyprawę poprzedziły kilkudniowe próby muzyczne w siedzibie teatru, a sama wyprawa miała miejsce od 6 do 8 stycznia, czyli wtedy, kiedy wierni obrządków wschodnich obchodzą Wigilię i Boże Narodzenie.

☆

— A tu od nas zaczynacie?

— Tak. My idziemy od do-
łu wsi do góry, a jest jeszcze
druga grupa i oni idą od góry.

czne wieczory — od zmierzchu do późnej nocy.

Przyjmowano nas bardzo różnie. Kilka razy zdarzyło się, że z chwilą naszego nadejścia gaszono w chałupie światło. Trudno dociec, jaka była tego przyczyna — być może dla niektórych było zbyt późno. Ale też nie było żadnej reguły, kiedy jest zbyt późno — o ósmej (zdarzało się budzić ludzi nawet wcześniej), o jedenastej? Ostatnią chałupę pierwszego dnia odwiedziliśmy o pierwszej w nocy. Pilnowali, żebyśmy ich nie ominęli.

— A bo zeszłym razem jak byliście, to do nas nie zaszliście.

— Bo późno już było, jak koło was przechodziliśmy. Zresztą nie tylko u was nie byliśmy. Nie dążyliśmy wszędzie.

Bywało tak, że tylko dla obyczaju kołędnicy przymawiali się:

ły czas gospodarzem, cały czas zachowującym wręcz kamien-
ny wyraz twarzy. Pewnie za moment zebralibyśmy się do wyjścia, lecz nagle padło, nie tyle pytanie, ile zabarwione smutkiem zawodu stwierdzenie:

— To co? Tylko tyle zna-
ole?

Wtedy wiadome się stało, że jesteśmy w tym domu po-
żadanymi gośćmi i worek pie-
śni rozwiązywał się. Nastrój w takim domu był zupełnie in-
ny, często wynikał z samotno-
ści starych ludzi. Nie docho-
dziło tam do tańców, tylko
pieśń płynęła za pieśnią:

Syn Bożyj sia
nam narodiu
By nas hrisnych
wyswobodiu.

Trudniej było wyjść z takie-
go domu niż od tańców.

Repertuar kołędników

stanowiły kołedy znane wszy-

stikim, wysperane na śpiew-
ników kolędy polskie i ukraiń-
skie, dawne kolędy wielogłos-
owe (te śpiewała druga grupa,
pozbawiona kapeli) i kolędy
zebrane przez aktorów z Wę-
gajt w czasie wypraw po ca-
łych Karpatach. I tym razem
aktorzy często pytali:

— A u was tu kolędują?

— Kolędowali zawsze. A w
tym roku jakoś nie... A, nikt
się nie zebrał. Nie wiadomo
czemu.

— To w tym roku pierwszy
raz nikt nie kolęduje?

— Pierwszy raz.

— A wyście kolędowali?

Rzadko padała odpowiedź
twierdząca.

— No to zaśpiewajcie nam
coś. U was pięknie śpiewają.
Słyszeliśmy na pastercie...

— Byliście na pastercie...?

— Tak. Zaśpiewajcie nam
coś. Zaśpiewajcie!



Fot. RAFAŁ SALATA

Tylko jeden raz udało się na-
mówić kogoś do śpiewania. Ale
wtedy już nawiązał się długi
dialog pieśni.

W pierwszy dzień kolędowa-
nia, gdy prawie wszyscy we wsi
już spali, obie grupy kolędni-
ków spotkały się koło chału-
py, z której jedni właśnie wy-
szli. Wrócili tam wszyscy. Tań-
ce w tym gościnnym domu
skończyły się w porze, o której
latem wysoko już stoi słońce.

Drugiego dnia

dosypało jeszcze śniegu. Nie-
kiedy w ciemnościach trudno
było odnaleźć, nie przeddeptane
w święta, ścieżki do domów.
Ale za to czuło się, że w nie-
jednej chałupie gospodarze cze-
kali przygotowani na nasze
przyjście. Wieść rozeszła się
już po wsi.

Dobryj wieczir wam,
Tai gospodariam
My nie sami idem,
my kozu wiedem

Ta piosenka nigdy, mimo
słów przywitania, nie była
pierwszą zaśpiewaną w chału-
pie. Czasem służyła do przeła-
mania resztek niepewności,
czasem do podtrzymania lek-
ko zamierającego kontaktu.
Wyskakiwała wtedy na środek
brykająca koza z prawdziwymi
rogami, w baraním kożuchu.
Padała nagle zastrzelona i po
chwili bezruchu jeszcze gwał-
towniej ożywała. Taniec ko-
zy był zawsze kulminacyjnym
punktem. Ten, w sumie drob-
ny występ, traktowany był
bardzo poważnie. Przebrany
kolędnik, dzięki reakcji miesz-
kańców domu, stawał się au-
tentyczną, choć jednocześnie
groteskową bestią, która na-
głe druzgotała i tak już moc-
no nadwątłony przez wizytę
kolędników porządek, przera-
żała dzieci, rozbawiała do łez
staruszków.

Zresztą wszystko tu nabiera-
ło innego sensu. Przepuszcza-

ne niekiedy nieuważnie przez
naszą świadomość słowa od-
najdywały niespodzianie pier-
wotną świeżość swoich zna-
czeń:

Jasne sonce — to e pan
gospodar
Stribnyj misac — to e
gospodinia
Dribni zirki — to e
ichni dítki.

Te słowa, kiedy stawaliśmy
w kuchni naprzeciw gospoda-
rzy, nie były już słowami pow-
szecznie znanej tu pieśni. Sta-
wały się słowami pierwszy i
jedyne raz wyspiewywanymi
do stojących naprzeciwko lu-
dzi, porównywanych do słoń-
ca, księżycy i gwiazd. Bez
cienia żartu czy groteski. Z
niewnością dla samego doświad-
czenia takiej dziewiczej, czy-
stości słów warto było przed-
sięwziąć całą wyprawę.

*Ostatnim, odwiedzonym przez

nas domem, był dom miejsc-
owego księdza — prawosławne-
go, ale nikt nie nazywał go
tu popem. Oczywiście skoń-
czyliśmy na dyskusji o reli-
giach. Cóż — wypada życzyć
każdemu choć połowy tej o-
twartości i tolerancji, z jaką
się tu spotkaliśmy.

Zapraszani do odwiedzin o
każdej porze roku wyszliśmy
w rozświetloną pełnią księżyca
zimową noc. Po dolinach i gó-
rach przesuwały się cienie pe-
dzących po niebie chmur.

Śpiewający kolędnicy od-
chodzili w górę wsi, do schro-
niska, w którym nocowali.

Ostawajcie z Bogiem
pane gospodarzu
Radujsia! Oj radujsia
zeme
Syn Bożyj narodziwsia!

JERZY WELTER